

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Wacław Gąsiorowski

HURAGAN

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

I

Wieczór zapadał. Na drodze ciągnącej się od Brzezin ku Rawie wlokł się mały, węgierski wózek, zaprzężony w parę gniadych mierzynków. Droga była ciężka, miejscami wąska, wypukła, zawalona kamieniami, to znów rozlewająca się w szeroki, piaszczysty gościniec. Wózek co chwila to zapadał w głęboko żłobione koleje, brzuchem swym muskając ziemię, to wspinał się z grudy, na grude, z kamienia na kamień. Konie ustawały. Stary, skulony furman zachęcał je głosem, szarpał z lekka lejcami lub smagał batem. Lecz i to przestało skutkować. Gniadosze rozwarły szeroko chrapy, najeżyły krótko strzyżone grzywy i zatrzymały się nagle dysząc ciężko.

Furman zeskoczył z wózka, a za nim siedząca obok niego baba. Z tylnego siedzenia zerwał się młody człowiek, zbudzony widocznie, i chwycił machinalnie za ukrytą w zanadrzu króci-cę.

– Maciej! – zakrzyknął. – A tam co?!

– Ustały, panie poruczniku!

– Bo tyś zdarzony akurat do powożenia! – odezwała się baba. – Gnałeś... gnałeś... to i masz...

– Jasia, nie gadaj – upomniął babę furman.

– Nie gadaj i nie gadaj! – przedrzeźniała dalej baba. – A teraz konie wyłóż i ciągnij...

– Nie poradzi! – odparł flegmatycznie furman, rozwiązując postronki upręży.

– A też to skaranie boskie z tym chłopem. Młody człowiek nie zważał na dogadywania ba-by. rękę do kaszketu przyłożył i rozglądał się po okolicy. Wreszcie rzekł półgłosem jakby do siebie:

– Nie widać! Może lepiej wózek porzucić. Na przełaj miła mniej...

Baba. rozpostarła ręce szeroko i podchwyciła żywo:

– Na przełaj? A toż byłoby dopiero! Ani myśli! Szkapiny się wydychają krzynkę!... O... jak to parska! Zdrow! I dowleczem się. Gdzieżbym, ja to panicza mego puściła na pieczę. Juści niejeden kraj się przemaszerowało, ale gdzie tu... samotrzeć!... Włóczy się różnego zbójectwa. A nie uszliśmy to już z dziesięć razy rozmaitym?... Ja tam siadam na wózek i czekam! No, stary, czegoś gębę rozdziawił, dajże obroku! Taki to, panie poruczniku, ciemiega, a do strzelców konnych iść się napiera!...

Porucznik, zasypany potokiem wyrazów, uśmiechnął się smutnie.

– Dobrze mówicie, Żubrowa. Tylko czy pocziwe koniska wytrzymają, czy nie omdleją? Nie jestem tu obcy, papierów nie ma co okazywać... Sześć mil jednym tchem prawie przebie-gły, a... ile jeszcze?

– Do Rawy, wedle rozkazu, będzie jedna, a potem, w bok, z półtorej.

– Wedle rozkazu! Wedle rozkazu! – powtórzyła z przekazem baba. – Niby to pan porucz-nik kazał, żeby tyła jeszcze było!

– Jasia, nie gadaj – mruknął po swojemu furman.

– I to... zrobili podoficerem jeszcze! – gderала dalej baba.

– Ano trudno – przerwał porucznik. – Wysyp im resztę obroku. Niechaj wypoczną. Noc zapada. Podjedziemy do miasta. Żubrowa skoczy potem cichaczem na rogatki. A nie macie tam czego w torbach?...

– Et, nie ma strachu! Markietanka głowę na karku może ma lepszą niż niejeden podoficer pierwszej legii, pierwszego batalionu, drugiej kompanii!...

Na potwierdzenie tych słów baba skoczyła do wózka i jęła wydobywać zeń prowianty i gąsiołek z wódką. Porucznik przysiadł nad rowem i zabrał się ochoczo do jadła, przepijając ze smakiem.

– Gdańska! – zauważył z ukontentowaniem. – Pijcie i wy. Baba chwyciła za flaszkę i pociągnęła mocno raz i drugi.

– Co nasze, to nasze! Aż gorącość w człeka wstępuje a żywość. Lepsze niż te italskie napoje, co choć gębę ze słodczy skleją, a jeno cikliwość po nich ostaje i zgaga. Stary, masz i ty, a folguj, bo mi się spijesz!... Już to głowę masz na nic. Widzisz, stary, nawet kule cię miały, słusznie mądrzejszych łepetyn szukając... Pod tym Holindem...

– Hohenlinden! – poprawił porucznik.

– Kto by tam spał – pod Holindem już-już leciała na niego jedna, ale jak ci nie zobaczy z bliska tej kapuścianej głowy, tak dalej w bok, ledwie mu pogardliwie koło ucha gwizdnęła i przebiła porucznikowi Dziurbasowi kaszkiet!... Albo choćby w bitwie nad Adygą. Stoję sobie przy ambulansie, a tu nieprzyjaciel plunął na przywitanie rotowym ogniem; patrzę, w drugiej kompanii, na lewo, kiwnęła się czapka – myślę, nareszcie mój dryblas się doczekał! „Jesteś wdową, *madame*¹ Żubrowa”. Chwytam za manierkę, aby mu się dać napić na drogę żywota wiecznego i wciskam się między szeregi... Aż tu mój stary gryzie sobie najspokojniej ładunek! A kapral Michał Zadera leży jak długi i ani zipnie! Pocziwe było człeczysko. Nie-raz, bywało, jeść nie ma co, aż zatyka. A tu Zadera naraz się zjawia. „Pani Żubrowa – powiada – bydlaka sobie zjemy! Co?!” Ja mu na to zła: „Juści bydlaka się zachciewa – a pomidorów z oliwą nie łaska?” A ten aby białkami łypnie i patrzę, a już z kieszeni ciągnie przepiórkę, niby psa za ogon! Dobrze było chłopisko...

Baba urwała, rękawem oczy przetarła i nagle zamyśliła się. Porucznik odwrócił głowę i zapatrzył się w zapadające mroki nocy. Żubr jął opatrywać konie, które ostygły i potrząsały już ochoczo uzdami.

Nagle stary podoficer drgnął i zaczął nadśłuchiwać. Na drodze, od strony Brzezin, rozległ się miarowy tętent. Żubr podskoczył ku porucznikowi.

– Melduję pokornie, iż ktoś za nami nadjeżdża! Porucznik zerwał się z miejsca i skoczył do wózka.

– Siadać żywo i ruszajmy.

Żubrowi nie trzeba było rozkazu powtarzać. Nakarmione mierzynki pomknęły żwawo.

Podróżni jechali przez chwilę w milczeniu. Turkot wózka wśród nocnej głuszy rozlegał się dokoła. Aż oto czujne ucho furmana pochwyciło nowy odgłos, bo zaciął silnie mierzynki i szepnął, nachylając się wpół ku porucznikowi:

– Melduję pokornie, że nas gonią!

Jakby na potwierdzenie tych słów, gdy wózek wjechał w piaszczystą kolej, a turkot jego uciął, równocześnie na drodze, w oddali, rozległ się już przyspieszony tętent kopyt końskich.

– Ilu może być?

– Czterech... pięciu!

– Mądrała – mruknęła baba.

– Zwolnić – zakomenderował porucznik. – Żubrowa na moje miejsce! Nie ujdziemy! Broń opatrzyć! Uważać! Jakby więcej... to pójdziemy w pole!

¹ M a d a m e (franc.) – pani.

Rozkaz wykonano natychmiast. Mierzynki przeszły na spokojnego truchta. Baba rozsiadła się wygodnie w tyle. Porucznik nasunął kaszkiet na oczy i zajął miejsce obok furmana.

Tymczasem pogoń zbliżała się coraz szybciej, wreszcie, gdy przysunęła się na odległość strzału, dał się słyszeć donośny głos:

– Hej, tam! Stać w miejscu! Wózek zatrzymał się.

– Prusacy! – szepnął porucznik pochwyciwszy w lot znany mu dobrze akcent.

Baba nie straciła rezonu, wykręciła się na siedzeniu ku nadjeżdżającym i zakrzyknęła tonem sprawiedliwego zniecierpliwienia:

– No więc stoje! I cóż?... Czego to waćpanom potrzeba? Jezdni otoczyli wózek. Jeden z nich wysunął się naprzód i łamaną polszczyzną zaczął:

– Dokąd? I skąd?!

– A to pan nie widzi, że na drodze do Rawy! Olaboga, cóż to? Do domu wracać nie wolno?!...

– Ci ludzie z wami?

– Ci ludzie? Znać, że waćpan nietutejszy, adyc to ten pijak, mój furman, niedołęga, a ten drugi... pociotek...

Jeździec, snadź nie mogąc rozeznąć podróżnych w ciemności, zakomenderował sucho:

– Wózek w środek i marsz!

– Niby jak to? – odezwała się Żubrowa.

– Papiery macie?

– A czy to bez papierów kto jeździ?!

– Tym lepiej dla was. Zobaczysz się Rawie.

– Niech będzie w Rawie! Albo to pana starosty nie znam!! Oho!

– Starosty! – zaśmiał się ironicznie jezdny. – Zobaczysz ty starostę, że aż landrata² popamiętasz! Hans, naprzód!

Wóz, otoczony jeźdnymi, ruszył powoli z miejsca.

Milczenie zaległo wózek. Żołnierze konwoju przyciszoną jęli prowadzić rozmowę.

Baba nie mogła wytrzymać długo i szturchnęła w plecy furmana – szepcząc przez zęby:

– Słyszysz, stary, jak szwargoczą? Tyle drogi i u brzegu przyjdzie ugrząźć.

– Nie gadaj! – wycedził dobitnie Żubr.

Porucznik tymczasem rozglądał się dokoła, próżno usiłując przeniknąć ciemności. Żubr ze swej strony, jakby odgadując myśli porucznika, wzrok wyteżał, a wykręcał się nieznacznie. W końcu nachylił się i rzekł uroczyście:

– Pokornie melduję, że sześciu.

Potężny kułak w plecy był mu odpowiedzią.

– Widzisz – ozwała się Żubrowa, korzystając z tego, że wózek wjechał na wyboisty kawałek drogi i jął dzwonić łańcuchami i trzaskać – widzisz, niedołęgo, a mówiłeś, że czterech! Kapuściana głowa! Skaranie z tym chłopem!...

Żubr ani drgnął, oczy wytrzeszczył i głowę ku jadącemu obok wózka nachylił. Badanie było długie.

– Melduję pokornie – żółte huzary.

W tejże chwili spoza chmur wysunął się rąbek księżycy. Światło jego padło na twarz jadącego tuż obok wózka. Stary Żubr zadrżał i chwycił machinalnie porucznika za ramię tłumiąc dobywający się z piersi okrzyk.

– Schmidt! – rzucił przez gardło.

Huzar poruszył się na siodle i zawołał groźnie:

– Hej! Co tam za szept! Cicho być!... Mieć ich na oku!...

² L a n d r a t (niem. *Landrat*) – starosta.

Porucznika zimny dreszcz przeszedł. Tak, to był głos Schmidta! I w jednej chwili cała przeszłość stanęła mu przed oczyma. Było to dwanaście lat temu, gdy służył w kawalerii pod Madalińskim, brygadierem. Nakazano zmniejszyć regimenty, kasować pułki; Madaliński, a z nim jemu oddana drużyna nie chciała się rozstać z mundurem. Brygadier poprowadził. Rozpoczęto walkę na swoją rękę. I tu, w Rawie, napadnięto dwudziestu piechoty i piętnastu huzarów. Jednemu z nich, właśnie porucznikowi Schmidtowi, on sam głowę rozplątał pałaszem. Ktoś usłużny z rawian wskazał jego nazwisko. Zrobił się gwałt za napaść. Na usługach pruskich będące sądy odsądziły go od czci i wiary. Po Maciejowicach, gdy chciał wracać do stron rodzinnych – tu, pod Rawę... nie mógł. I powłókł się oto na tułaczkę w świat. Dziś mniemał, że nie poznany przez obecnych, prześliźnie się do domu i dalej, do Warszawy, spokojnie dotrze... gdy oto spotyka znów tego samego Schmidta! A może go nie pozna? Ryzyko zbyt wielkie. Boć nie o jego życie tu szło tylko, lecz o papiery; o ekspedycję do księcia! Do-tychczas porucznik szczęśliwie unikał bliższych indagacji; paszporty, legalizowane w Berlinie, otwierały mu wszędzie szlabany od Poznania aż do Konina i Kutna, tu jednak sprawa mogła być cięższa. Najmniejsze podejrzenie wtrąciłoby go do więzienia, a cóż dopiero oskarżenie Schmidta!

Porucznik sięgnął w zanadrze i trącił z lekka Żubra. Stary podoficer zrozumiał znak, bo, przerzuciwszy lejce do lewej ręki, prawą opatrywał pistolet.

– Żubrowa! – szepnął porucznik zwracając się ku babie. – W łeb.

– Tego z tyłu? Już go ściągnę!

Nastąpiła krótka pauza, a po niej ostry głos porucznika:

– Pal!

Trzy strzały padły równocześnie i trzech jadących najbliżej wózka huzarów stoczyło się z koni na ziemię. Pozostali osłupieli na razie, lecz nie tracąc przytomności, podskoczyli do wózka z podniesionymi w górę pałaszami. Baba i furman zdążyli umknąć na ziemię, nad głową porucznika zawisło ostrze pałasza. Lecz szybkim ruchem zdołał uchylić się na bok i uniknął cięcia. Rozwścieczony huzar zamierzył się po raz wtóry, lecz równocześnie znalazł się w żelaznym uścisku starego Żubra. Drugi huzar nawrócił konia i usuwającego się porucznika zawadził po ramieniu końcem szabli, lecz w tejże chwili padł mowy strzał i kula przeszła plecy huzara. Piąty chciał natrzeć z drugiej strony na porucznika, lecz widząc czterech towarzyszy rozciągniętych na ziemi, spał konia ostrogami i pomknął ku Rawie. Żubr tymczasem cisnął coraz gwałtowniej swego przeciwnika. Próżno huzar wił się i starał chwycić podoficera za gardło. Siły go opuszczały, mdlał prawie w stalowym uścisku, wypuściwszy z rąk cugle, i słał się bezwładnie. Naraz Żubr jęknął przeciągle. Baba, która właśnie w tej chwili położyła trupem huzara, podbiegła do walczących.

– Jeszcze się z tym robakiem mordujesz?! – zakrzyknęła.

– Gryzie! – jęknął z bólu Żubr.

– Poczekaj! Nakarmię ja go zaraz.

To mówiąc, sięgnęła do olster huzara, wyciągnęła króciwą i strzeliła huzarowi prosto w usta.

Żubr odetchnął swobodniej. Otarł zimnym potem zroszone czoło, sięgnął ramienia i syknął przeciągle.

– Co ci to, Macieju?! Skaleczył?... – pytał niespokojnie porucznik, gramoląc się z drugiej strony wózka.

– Głupstwo! – wtrąciła Żubrowa. – Że Prusacy na świninę łąsi, o tym nie powiadam, ale żeby ich brała chęć takie obrzydliwe mięsisko kosztować – nadziwić się nie mogę!... No chodź, stary, nie bocz się! Naści tu bandaża i szarpi. Zawiaż, a później zobaczymy! A pan porucznik?

– Draśnięty! No, czasu nie tracić, bo nam tu szwadron cały tych kanarków spaść może na głowę. Zabrać im pistolety i w konie!...

Porucznik podbiegł do wózka, wydobył zeń małą szkatułkę i ukrył na piersiach. Żubr siadł na huzarskiego konia, który był się w opadłych cuglach spętał, i pokłusował w pole szukać rozbiegłych koni. W kilka chwil wrócił z dwoma. Porucznik wskoczył na siodło, baba wgramoliła się także razem z wielką, skórzaną torbą i ruszono z kopyta w bok przez pola, pozostawiając na łasce losu wózek, parę mierzynków i pięciu dogorywających huzarów.

II

W obszernej jadalni gotartowickiego dworu panowała głęboka cisza. Pani Jadwiga Gotartowska w milczeniu krzątała się koło zastawy do wieczerzy, wyręczając się od czasu do czasu dorastającą córką, jasnowłosą panną Urszulą, i spoglądając z niepokojem w stronę kominka, przy którym zgarbiony starzec gwarzył półgłosem z osiemnastoletnim wyrostkiem. Rozmowa snadź zaciekała mocno młodzieńca, bo oczy mu się iskrzyły, żywe rumieńce paliły twarz delikatną, białą. Starzec niemniej był przejęty, ręce mu drżały, głos niekiedy łamał się i ginął w zapadłej piersi.

Panią Jadwigę znecierpliwiła w końcu ta konferencja, bo ozwała się znienacka:

– Dziaduniu! Wieczera na stole! Marcelek wie o tym, słyszał nieraz. A młodemu to się tylko w głowie mroczy i Bóg wie czego się zachciewa.

– A, moja pani synowo! – odparł staruszek urażonym nieco tonem. – Chłopak rośnie, trzeba, żeby o tym i o owym się dowiedział, poznał sprawy publiczne... a suponować śmiem, że niejednego jeszcze od dziada nauczyć się może!

– Nie neguję – rzekła pani Jadwiga. – Jeno uważam, iż Marcelka zbyt wielka ochota do wojaczki ogarnia. I na co? Gdzie znajdzie upust dla swoich zapałów? Maż jak Florian przepadać po świecie i tułać się? Nie dośćże łez wylałam? Józef zmarniał na Wołoszczyźnie z konfederatami. Od lat trzynastu z górą ani słycho o nim. Czterech dochowałam się synów i cóż? Mamże pomoc z nich, wyrękę? Florek zaawanturował się z Madalińskim, Staszek aż drży, aby jeno swoje amory zakończyć i przy rodzicach Marysieńki osiąść. Któż zostanie? Marcelkowi do palestry³ pora, a Fabian w konwikcie⁴.

Staruszek obruszył się i spojrzał ostro na swego słuchacza.

– Tak! Dobrze pani matka mówi. Palestra, mości panie, i basta. Jać też nie powiadam, broń Boże, aby ci jaka myśl niedorzeczna w głowie miała postać. Widzisz, to były czasy inne. Zakonotować⁵ sobie niejedno nie wadzi, ale reszta... Ponoć praca na roli, w urzędzie, dla publicznego dobra owocniejszą bywa od hajdamaczyzny. I gdzie tu jeszcze z motyką na słońce... Phi! Prawią tam ludziska o tym waszym Napolionie. Koszałki opalki, mości panie. Nie wierzę ja w wasze Hannibale. Nie pora dziś na Cezary i Aleksandry Macedońskie.

– A księżę Józef – podchwycił szybko młodzieniec, rad wielce, że rozmowa znów na ulubione weszła tory.

– Hm! Jak to księżę. Wychuchany, wymuskany, wypieszczony. Zabawy w głowie!... Żeby to miał choć inny przykład! Ba! Właśnie podsędek Psarski, jak tu wstępował, wracając z Warszawy, powiadał mi o nim. Uciechy jeno, z Prusakami co możniejszymi za pan brat! Miżerne paniątko, zepsute, i tyle!

Marcelek się zamyślił. Pani Jadwiga wmieszała się znowu:

³ P a l e s t r a – tu: sądownictwo.

⁴ K o n w i k t – szkoła z internatem.

⁵ Z a k o n o t o w a ć – zapamiętać, zapisać.

– Dosyć! Dosyć. Niech dziaduś jegomość usiądzie. Urszulo, idź przywołać Staszka. Do obór pewno poszedł na obchód. Może i Lewandowskiego w drodze gdzie napotkasz.

Urszula wysunęła się cicho z jadalni.

Dziaduś powoli zajął miejsce przy synowej. Nadszedł wkrótce i Staszek z Urszulą, a później zjawił się niepostrzeżenie stary ekonom Lewandowski.

Wieczera się zaczęła, lecz szła niesporo. Misy schodziły prawie nietknięte. Pani Jadwiga zachęcała do jadła, lecz każdy się wymawiał. A i ją samą odeszła też ochota. Smutne myśli ją napastowały. Los synów trwożył. Jeden już poszedł, drugi, Staszek, lada dzień wyrwie się za narzeczoną... a i ten jeszcze!... – westchnęła głęboko a ciężko.

Stary dziaduś także się zasępił. Słowa synowej obudziły w nim przykre refleksje. Może i racja? Marcelek coś nadto się dopytuje. Gorąca krew, gotów polecieć... Bóg wie gdzie! Chłopak może zmarnieć jak ojciec, biedak... A i kto wówczas ucieszy starego dziada?

W tejże chwili Marcelek, widząc zamyślenie starego, ozwał się chytrze:

– Dziaduś jegomość skończyli na obłożeniu króla Leszczyńskiego w Gdańsku...

– Właśnie – zaczął żywo staruszek, lecz w tejże chwili spostrzegł się, nasunął siwych krzaczastych brwi i zachnął się ostro:

– Dość, mospanie! Później się dowiesz! Alwar⁶ wziąć do ręki, wokabuły⁷ przepowiadać, byś wstydu pijarom nie przyniósł. Głupstwa asanowi w głowie, i tyle.

Marcelek się zasmucił i nadąsał. Staruszkowi żal się zrobiło chłopca, więc dodał łagodniej:

– Piękna to rzecz rycerstwo, ale przede wszystkim statek i pomiarkowanie. Z każdej opowieści zdrowe trzeba wyciągnąć *sensum*. I nie o junakerii, awanturach a dziwacznych przygodach myśleć!

Pani Jadwiga na tę naukę skinęła twierdząco głową i rzekła po chwili:

– Mości Lewandowski! Ponoć wydano znów nakazy o ściąganiu rekruta?

– Tak jest, proszę waszej miłości! Z rana zajeżdżał urzędnik z Kriegskamery⁸ i zapisywał dymy. Jenó patrzeć, a co lepszych parobków nam wybiorą.

– Smutne czasy! – zauważyła pani Jadwiga. – W Krakowskiem, pod Austriakiem nielepiej.

– Czy prawda, że Marcelek do palestry ma pójść? – zapytał Staszek.

– Trzeba, żeby szedł – odpowiedziała pani Jadwiga. – Niech trochę ludzi pozna, zaprawi się. Na rolę czas mu jeszcze.

—Zapewne, pani matko! Tylko gdzie on tę palestrę znajdzie? Sądy zniesione, inne prawa i język obcy. Nasze Volumina legum⁹ zamieniono na Landrecht¹⁰, a trybunały na Justizkomisje¹¹ i Kreisgerychty...¹²

– Szelmy, rządzą się jak u siebie – szepnął dziaduś.

– Co robić! – rzekła pani Jadwiga. – Marcelek wzrasta. W domu trzymać? Niech język łamie, gdy inaczej nie można.

– Lewandowski mówił – ozwał się Staszek – że podobno przyszły słuchy o wielkich bitwach z Francuzami.

⁶ A l w a r – używany dawniej podręcznik gramatyki łacińskiej (nazwany tak od nazwiska autora).

⁷ W o k a b u ł y – wyrazy w języku obcym do nauczenia się na pamięć.

⁸ K r i e g s k a m e r a (niem. *Kriegskammer*) – dawna nazwa niemieckiego urzędu wojaskowego przeprowadzającego pobór do wojska.

⁹ V o l u m i n a l e g u m (łac.) – księgi praw (mowa o zbiorze praw obowiązujących w Polsce przedrozbiorowej).

¹⁰ L a n d r e c h t (niem.) – prawo krajowe.

¹¹ J u s t i z k o m i s j a (niem. *Justizkommission*) – komisja sprawiedliwości.

¹² K r e i s g e r y c h t (niem. *Kreisgericht*) – sąd powiatowy.

– Ba-ba! Czego ludziska nie mówili! że Napolion wojnę Austriakowi wydał i że się koronować królem naszym zamyśla... Pani synowo, my tam nic podobnego już nie doczekamy!

– Oj, pewno! – przyznała smutnie pani Jadwiga. – Niechby już raz pokój jaki nastał albol! ład przynajmniej... Nie wiadomo, co począć, jak się rządzić?! W którą stronę się zwrócić?

– Tu źle, mospanie, i tam niedobrze. Niemców zewsząd niby mrowie naszło. Grunwald im pachnie. Radź tu teraz ze smykiem takim! Ot, za mojej pamięci chłopiec szedł na pański dwór... a nawet i do palestry!... Ale palestra była szkołą, mospanie, największych statystów¹³. Tam człek młody zaprawiał się do pracy publicznej, tam poznawał prawo, tam...

Starowina uciął nagle i pogrążył się w zadumie. Szkliste jego oczy mgłą zaszyły. Zebrani nie śmieli przerywać milczenia. Tylko świece łożowe skwierczały hałaśliwie w lichtarzach.

Nagle, poza oknami, dał się słyszeć stłumiony zgiełk, a potem gwar w sieniach dworu. Zanim ekonom Lewandowski zdołał wybiec, aby zapytać się o przyczynę hałasu, do jadalni wpadł jak kula stajenny pacholek.

– Panicz przyjechali! – zakrzyknął.

Pani Jadwiga zerwała się z miejsca, za nią ruszyli od stołu wszyscy. Tymczasem w progu ukazał się młody mężczyzna silnej budowy, ogorzały, w podróżnej, zniszczonej odzieży. Stał tak przez chwilę w niemym wzruszeniu, wreszcie rzucił się naprzód i padł do kolan pani Jadwigi.

– Florek! – zawołała ta ostatnia, chyląc się do głowy syna.

– Tyżeś to, mój synu drogi!

W jednej chwili rodzeństwo otoczyło zwartym kołem powracającego brata, chwytając go kolejno w ramiona. Dziaduś aż trząsł się z radości, śmiał się, dygotał jak w febrze, a łzy jak groch spływały mu z oczu.

Gdy pierwsze powitania przeszły, zasadzono Floriana do posiłku i zarzucono pytaniami, nie bacząc, iż we drzwiach do sieni gromadka ciekawych przypatrywała się tej scenie. Dziaduś ich dostrzegł.

– Dalej! – zawołał. – Powitać, mospanie, panicza!

Czeladź rzuciła się za nogi go ściskać, a po rękach całować. W ciżbie a tłoku powstałym nikt na razie nie zauważył wyprostowanego na uboczu chłopca i przysadzistej obok niego baby. Dopiero gdy pani Jadwiga dała znak czeladzi, aby odeszła, dostrzegła dwie marsowe figury i zapytała niespokojnie:

– A to kto taki?

– Maciej Żubr, podoficer pierwszej legii, pierwszego batalionu, drugiej kompanii! – odparł chłop wyciągając się jak struna.

– Joanna Żubrowa, markietanka pierwszej legii, pierwszego batalionu – zawtórowała baba.

– Ha, ha! Zapomniałem mamie dobrodziejce sprezentować moich towarzyszków. Maciej, dzielny chłop... przysłał był jeszcze do naszego regimentu pod Madalińskim i tak tułaliśmy się razem... a Madejowa przywędrowała za mężem spod Zamościa do Lombardii... Zabraliśmy ją także do legionów. Teraz, gdy do kraju jechać musiał, a generał Dąbrowski towarzyszy szukać mi radził, zabrałem ich. Przyjmijcie ich, pani matko, całym sercem. Warci tego oboje. Et, gdyby nie Żubr... nie Żubrowa, nie raz, ale dziesięć razy już bym was tu nie oglądał!...

– Siadajcie z nami – zakonkludowała pani Jadwiga, choć marsowa twarz baby dziwną jej się wydawała. – I do jadła! Urszulko, każ miodu utoczyć.

Podoficer z markietanką zajęli miejsca i rozmowa poszła gwarna, bezładna, gorączkowa. I opowiadał Florian, jak po rozbiciu Madalińskiego i osadzeniu go w więzieniu berlińskim poszedł w świat niemal o żebraczym chlebie, jak w Heidelbergu natrafił na rodaków, którzy go wspomogli i do Paryża wyprawili, jak w stolicy Francji, Barssa, dawnego Rzeczypospolitej

¹³ S t a t y s t a – tu: mąż stanu, polityk.

agenta, poznał i przez niego znalazł zasilek u pana Józefa Wybickiego i pana de la Roche, jak był świadkiem rządów porewolucyjnego Dyrektoriatu, jak potem wyjechał za generałem Dąbrowskim do Mediolanu. I snuł dalej jeden nieskończony obraz bitew, potyczek, rekonesansów, nocnych wycieczek, nędzy, głodu i nieszczęścia. Z ust Floriana wyrwały się niekiedy westchnienia, czasem w oku jego zatliły się iskry, a pięść kurczyła się, zaciskała.

Słuchano go z zapartym oddechem.

Chwilami głos porucznika drżał i łamał się ze wzruszenia, zwłaszcza wspominając męstwo Kniaziewiczza; a gdy wymówił po raz pierwszy imię „Bonaparte”, słowa uwięzły mu w gardle i umilkł.

Dziadkowi na pergaminowej twarzy wystąpiły ceglaste wypieki. Starego konfederata paliła ciekawość. Chwycił wnuka za ramię i cisnąc je z wysiłkiem, szeptał z przejęciem:

– Florku! Powiadaj mi o nim!...

– Napoleon! – zaczął wolno Florian. Żubr i Żubrowa powstali z miejsc.

– Było to pod Marengo – mówił cicho porucznik – druga kompania pierwszego batalionu została odkomenderowana dla uzupełnienia gwardii grenadierów konsularnych. Zajmowaliśmy stanowisko pomiędzy rzeką Bormidą i wsią Marengo. O świcie Austriacy zaczęli kanonadę; było ich czterdzieści tysięcy, nas zaledwie dwadzieścia. Pierwszy natarł generał Victor, lecz go rozbito, Lannes musiał się cofnąć. Nas ustawiono na prawym skrzydle. Austriacki generał Zach rusza w pięć tysięcy starych grenadierów. Z daleka już widzimy białe mundury... jeszcze chwila, a spadnie na nas grad kul i las najeżonych bagnatów. Wtem, jak grom, przed czołem naszej kolumny staje on... Bonaparte! Koń pianą okryty. W zielonym surducie, w otoczeniu sztabu i Mameluków¹⁴.

Spojrzał wzrokiem sokolim, rękę ku nam wyciągnął przyjaźnie i zawołał:

„Żołnierze! Nie zapominajcie, że mamy zwyczaj noc na polu bitwy przepędzać!”

Odpowiedzieliśmy okrzykiem pełnym zapału. Skinął. Gwardia poszła... Dwie godziny stawialiśmy opór czterokroć liczniejszemu nieprzyjacielowi. Sześć natarć wytrwaliśmy z bronią w rękę, sześć razy Austriacy musieli się cofać. Gwardziści walczyli jak lwy, umierając z imieniem Bonapartego na ustach. Nastąpił atak siódmy, straszny, zażarty. Kolumna się zachwiała. Generał Desaix pada rażony kulą. Dobywamy resztek sił, gdy naraz młody Kellerman uderza kawalerią z boku na lewe skrzydło, łamie je, rozprasza i wrzyna się w środek kolumny Zacha. Austriacy się mieszają i rzucają do ucieczki, nasi za nimi!... Pięć tysięcy poległych i dziesięć rannych, i tyleż niewolnika. Zmierzchało się. Bonaparte objeżdżał plac boju. Ja byłem ranny lekko, opatrywał mnie medyk. Wtem... nadjechał na to miejsce właśnie z adiutantem. Spojrzał na pobojuwisko, gdzie ziemia niebieszczyła się od mundurów gwardyjskich, i rzekł smutnie:

„Tu leżą bohaterowie!”

Wpadłem mu w oko, zoczył moje amarantowe wyłogi i rzekł:

„Polak?”

„Tak jest, generale” – odpowiedziałem.

„Jesteś podporucznikiem legii?! Będiesz porucznikiem gwardii konsularnej”.

„Generale – ozwałem się – pozwól mi zostać w legii między swoimi”.

Adiutant się zmarszczył.

Napoleon atoli uśmiechnął się dobrotliwie.

„Zuch! – mówi. – Oni wszyscy tacy! Przypomnij mi o nim”.

¹⁴ M a m e l u c y – żołnierze gwardii przybocznej władców egipskich, rekrutujący się z byłych jeńców tureckich. W XIII w. Mamelucy zawładnęli Egiptem, gdzie panowali do XVI w. Po przejściu Egiptu pod władzę turecką tworzyli wszechwładną arystokrację wojskowo-feudalną. Napoleon pokonał Mameluków w bitwie pod Piramidami w 1798 r. i z pewnej ich liczby utworzył specjalne oddziały w wojsku francuskim.

Odjechał.

– A ty, biedaku? – zagadnęła żywo pani Jadwiga.

– Et! Nic. Lekka kontuzja. W tydzień wyszedłem z ambulansu. Potem było Hohenlinden, Salzburg, przejście Salzy. Później nas rozdzielono. Generał Jabłonowski wyjechał z częścią na San Domingo... ja za generałem Dąbrowskim wstąpiłem na służbę neapolitańską. Tam przetrwałem lat kilka, obawiając się wracać do kraju. Bonapartego obwołano cesarzem. Wygrał z Prusakami. Generał przywołał mnie i powiada:

„Jedziesz, Gotartowski, ze mną?”

„Jadę!” – odpowiadam.

W przebraniu, udając Włochów, ruszyliśmy do Francji. Żubr z żoną napierali się. Zabrałem ich także. Armia francuska stała nad Renem. Cesarz wypowiedział wojnę Prusom. Dwa-nastcie dni temu była bitwa pod Jeną. Prusacy rozbici. Napoleon w Berlinie. Mnie generał wysłał do Warszawy.

Florian urwał w tym miejscu, znużony. Słuchacze siedzieli w niemym osłupieniu; ten Napoleon, druzgoczący królestwa, wywracający trony, znoszący armie, jeszcze niedawno oficer, a dziś cesarz wszechwładny, na skinienie którego drżał Egipt, korzył się Rzym – wydawał się mitem jakimś, legendowym bohaterem.

Pierwszy otrząsnął się z wrażenia dziaduś.

– Prusakom wytatarował skórę – powiadasz? A, mości panie, to mi się podoba! Bo, że tam różne Lombardy, Wenecjany zawojował, że wszelkiej włoszczyzny Austriaka pozbawił, a Anglikowi za pazury załaził, no toć jego francuska w tym sprawa, lecz kiedy mi mówisz, że aż w Berlinie siedzi... w to mi graj, mospanie! Przyszła kryśka na Matyska! Dobrze im tak! Uściskałbym go! Dalipan, po trzykroć uściskał! Niech mają!

Korzystając z przerwy w opowiadaniu, Żubr zbliżył się do Floriana i szepnął mu coś na ucho. Ten ostatni powstał i rzekł poważnie:

– Pani matko! Kilka słów proszę na osobności. Pani Jadwiga drgnęła, złym przeczuciem wiedzioną, i wyszła prowadząc syna do alkierza.

Tymczasem rozochocony dziaduś skinął na Żubrową i Żubra, posadził ich przy sobie, nalał im po szklanicy miodu i – „mówcie” – zachęcał.

– Wedle rozkazu! – odrzekł uroczyście Żubr i umilkł.

Żubrowa pośpieszyła mu z pomocą.

– Już to, WMPanie, mój stary do gadania wcale nie jest zdarzony, bo co głowę, to miał zawsze słabą, a od tego zadawania się z rozmaitymi narodami, to mu język do cna skołkowaciał.

– *Hic mulier*¹⁵! – zauważył śmiejąc się staruszek. – Być Napolionem nie sztuka, jak ci takie ma Amazonki. Dużo takiego regimentu niewieściego było?...

– Jeden pułkownik w batalionie i jedna markietanka. Trzy bataliony w legii, więc i trzy markietanki – odparła Żubrowa.

– I cóż to waćpani robiła? – zagadnął staruszek chcąc babę pociągnąć za język. – Gdyż, chociaż sięgam pamięcią w czasy odległe, takiego babskiego urzędu uprzytomnić sobie *non possum*¹⁶?...

– I pewnie. U nas dawniej bo, WMPanie, bywała prawie sama kawaleria, a dopiero gdy nasze wojsko zaczęło na piechotę po różnych krajach wędrować, bez markietanek ani rusz!... Służba ciężka. Markietanka niby ma wiktuałami handlować przy wojsku... ale gdzie tam! Na wymarszu to i owo zakupić można, a potem głodem się handluje a nędzą. A gdy i dźwiga się co w wózku, toć kupić nie mają za co, a dać trzeba. Bitwa – trudno się markietance pod korzec schować, temu i owemu ranę opatrzyć trza, boć i medyk nie wystarczy! Niekiedy umierającego dobrym słowem pożegnać przyjdzie albo i samej za karabin chwycić.

¹⁵ *Hic mulier* (łac.) – dosłownie: oto kobieta; przenośnie herod-baba.

¹⁶ *Non possum* (łac.) – nie mogę.

– Florian sprawiał się dobrze. Co? Hę?!
– Wielmożny panie, co wielki oficer, to wielki, że nie lżę, to niech mnie kula nie minie. Bywało, major Pokrzywnicki przyjedzie przed front do naszego kapitana Komorowskiego i powiada: „Florka mi – niby naszego panicza – strzeż, bo to oficer pierwszej wody, takiego porucznika między generałami byś nie znalazł!...” Przedni miodek, tylko ty, stary, nie pij, bo masz głowę na nic. Oddaj mi, niech sobie zwilżę! Ho! ho! Nasz porucznik srogi we froncie! A sam pierwszy wszędzie. Kompanią głodna, toć i on głodny. Piechurowi buty z nóg spadają, i jego nielepsze. Ma swoje, co mu wydziela, to temu zaraz furażerkę, innemu mundur albo i płaszcz kupi i daje. Wielmożni państwo spoglądają na te nasze podarte łachmany i dworują sobie... Trudno, mundury trzeba było zrzucić. Między Prusakami niesporo.

– Aśka też w mundurze chodzisz?
– To dobre! A jakże! Mundur jak się patrzy, z wyłogami, kokarda francuska u czapki, tylko różnica, że bez hajdawerów.

– Nie gadaj, Jasia, wedle rozkazu – wtrącił nieśmiało Żubr, nabierając po miodzie rezonu. Baba aż skurczyła się na ławie.

– Macieju! Śmiesz mi jeszcze dogadywać. Poczekaj! Popamiętasz!... Ale jest jeszcze sprawiedliwość. Ugryzł cię Prusak, poczekaj, ugryzie inny lepiej!...

Dziaduś, a za nim Staszek, Urszula, Marcel i ekonom aż pokładali się ze śmiechu, słuchając wynurzeń Żubrowej.

Naraz drzwi alkierzyka się otworzyły i wyszła pani Jadwiga blada, znękana, z oczyma zaczerwienionymi, za nią szedł Florian. Zasiadli przy stole. Obecni spojrzeli po sobie, wesołość znikła.

Pani Jadwiga wodziła smutnie oczami po twarzach synów. Jeden w drugiego mężczyźni piękni, o włosach jasnych, oczach dużych, niebieskich, rysach twarzy kształtnych. Widziała ich teraz razem, obok siebie siedzących, a jutro?...

Florian wstał nagle i jął się rozglądać niepewnie.

– Komu w drogę, temu czas! – rzekł siłąc się na spokój. Dziaduś spojrział nań zdziwiony.

– Co pleciesz, mospanie? Florian schylił się do ręki starca.

– Służba! Muszę ruszać dalej natychmiast. Chwili jednej stracić mi nie wolno. Za tydzień, dwa, może da Bóg, zajadę na dłużej...

– Florku! – ozwał się poruszony staruszek. – Dziesięć lat nie byłeś... pacholęciem z domu wyszedłeś i po dziesięciu latach...

Ręce pani Jadwigi drżeć febrycznie zaczęły. Florian pasował się sam ze sobą.

– Wiem ci ja o tym! Wiem! Ciężko mi, ale trzeba...

– Nie poraż by odpocząć po tylu latach?! – upominał staruszek.

– Oj, nie pora! – wyrzekł smutnie Florian. – Kto raz się służbie publicznej poświęci, temu nie wolno ustawać!... Co tam! – dodał weselej. – Obaczmy się wkrótce. A tymczasem zostawię wam tu załogę! Żubr i wy, Żubrowa, zostaniecie tutaj.

– Wedle rozkazu!

– Pana porucznika samego mamy puścić?

– Tak trzeba. Dawno marzyliście o tym, żeby gdzie kąt znaleźć spokojny. Więc go macie. W drodze was nie potrzebuję. Pojedzie ze mną chłopak stajenny, zresztą, po ostatnim wypadku, moglibyśmy łącznie wpaść w ręce Prusaków. Do Warszawy już niedaleko.

Pani Jadwiga przywołała ekonoma i wydała mu jakieś ciche rozkazy.

Florek żegnał się kolejno ze wszystkimi. Dziaduś rozplakał się jak dziecko i znakiem krzyża błogosławił wnuka. Pani Jadwiga słów znaleźć nie mogła. Tuliła głowę syna do piersi i łkała cicho.

Ekonom dał znać, że konie gotowe. Porucznik wskoczył na najbliższej stojącego. Pacholek siadł na drugiego, trzy nadto luzem prowadząc na długiej lejcy.

– Bywajcie! – zawołał Florian i spał konia.

Głuchy jęk był mu odpowiedzią.

III

Florian wjeżdżał do Warszawy w pobożnym skupieniu. Tyle lat na tułaczce spędził, tyle razy tracił nadzieję jej oglądania. Tu nareszcie przyjmą go z otwartymi rękoma, sercem. A brakło mu, jak wszystkim zresztą legionistom, bratniego uścisku. W Warszawie nie będą go już pytali, jak tam, u brzegów Adriatyku – dlaczego dobrowolnie skazał się na trudy wojenne, dlaczego w dali od swego kraju przelewał krew dla spraw cudzych, interesów obcych, honoru i sławy nie swojej.

Było południe. Mieszkańcy Warszawy, korzystając z pogodnego dnia, tłumnie wylegli na ulice. Florian z trudem przeciskał się przez ciągnące we wszystkie strony sznury wozów, bryk i kałamaszek szlacheckich. Niekiedy z bocznej ulicy wypadła szeroka karoca poszóstna, w oknie której mignęła twarz posepna, surowa, pańska. Bokami szedł pstry, różnobarwny tłum, przedstawiający dziwną mieszaninę strojów i epok. Kontusze i żupany ocierały się o francuskie fraki i bufiaste żaboty, wielkie cylindry filcowe i obwisłe surduty Dyrektoriatu z olbrzymimi klapami i halsztukiem bratały się z kaszkietami pruskich żołdaków. Podgolone czupryny, harcapy¹⁷, białe faliste peruki, czaple pióra, trójgraniaste kapelusze, rogatywki, kubraki, długie czarne opończe, karabele i szpady, krótkie mieczyki a pugiwały, żółte i czerwone buty, atlasowe pantofle, palone czarne cholewy i hałaśliwe chodaki – wszystko to razem składało się na strój mieszkańców Warszawy.

Florian skierował konia na Podwale, postanowiwszy zajechać do dalekiej krewnej matki, do pani Dziewanowskiej, wdowy po Michale Dziewanowskim, pułkowniku gwardii królewskiej. Pani Dziewanowska zajmowała małe mieszkanko na trzecim pięterku, utrzymując się wraz z córką ze skromnego kapitaliku, jaki jej z dawnej fortuny pozostał. Przyjazdem Floriana ucieszyła się serdecznie. Porucznik, rozejrzawszy się w ubożuchnych a szczupłych pokojach, chciał do zajazdu iść pod Zamek i noclegu szukać, atoli pani Dziewanowska słysząc o tym nie chciała.

– Ani mi się waży despektu takiego czynić – mówiła rezolutnie. – Nie salony u mnie, nie pańskie pokoje, ale kąt wolny się znajdzie. Gdzieżbym pozwolić mogła! Jedniście wy dla mnie na świecie prawie, bo prócz was i bratanka po mężu – wszystko wymarło.

Florian jął się wymawiać. Pani Dziewanowska nie dała mu przyjść do słowa.

– Bez wykrętów. Wiem, żeś zamorskich grzeczności a dworskich ceregieli świadom. Ale ze mną to na nic. Prosta jestem szlachcianka, szczerza a otwarta. Zresztą, mój kochany, ze mną mniejsza, lecz co z moją Zosią, to nie poradzę. Ona by mi tego nigdy nie darowała. Wyszła właśnie na targ przy piątku to i owo zakupić, boć to Wszystkich Świętych mamy w poniedziałek. No, rozgość się, proszę. Patrz, tu jest na lewo jej komnatka. Chłopiec z końmi niech przejdzie na Piekiełko, zaraz kilka kroków stąd, około Piekarskiej, są stajnie, tam pomieszczenie i obrok za kilka dytków znajdzie.

Porucznik chciał dziękować.

¹⁷ H a r c a p – warkocz przy peruce noszony przez mężczyzn w XVIII w.

– Wiem, wiem, co mi chcesz powiedzieć. Przede wszystkim zdrożonyś. Masz tu wodę na misce. Ogarnij się, a ja się zakrzętnę około obiadu. A potem pogadamy.

I nie czekając na odpowiedź Floriana, wyszła z pokoiku, zostawiając go samego.

Porucznik rozejrzał się po izdebce ciekawie. Przedstawiała ona dziwną mieszaninę zamożności i ubóstwa, skromności i zbytku. Sosnowy, ledwie ogładzony stół był okryty kosztowną tkaniną; na czerwono malowanej szafie stał zegar gdańskiej roboty, cyzelowany a błyszczący grubą pozłotą, stołki zwyczajne i ławy dwie nikły pod kilimkami tureckimi. Na ścianach wisiały portrety, a tuż ponad białym zasłanym łóżkiem ołtarzyk srebrny, roztwierany, z Matką Boską. Pod ołtarzykiem palma, a z nią skrzyżowana, w jaszczur oprawna karabela i dwie króćce.

Florian rozwinął zabrane z domu zawiniątko. Doprowadził odzież do porządku i orzeźwił się wodą. Właśnie kończył się wycierać, gdy drzwi z hałasem się otwarły i stanęła w nich wiotka postać młodej dziewczyny. Porucznik rzucił się w tył, okrywając się pośpiesznie ręcznikiem, dziewczyna zarumieniła się z lekka, nie wiedząc, co począć. Stali tak chwilę naprzeciw siebie, zaambarasowani, onieśmieleni.

Dziewczyna pierwsza, zapanowała nad sobą i, cofnąwszy się raptownie, znikła za drzwiami, spoza których doszła uszu Floriana przeciągła kaskada serdecznego śmiechu. Porucznik zarzucił na siebie pośpiesznie zwierchnie ubranie, a spakowawszy zawiniątko i pogłodziwszy wąsa, wyszedł do drugiego pokoju.

Dziewczyna stała obrońca plecami, a oparłszy głowę o szybę okna, dusiła się ze śmiechu.

– Daruje waćpanna, to niefortunne... – zaczął poważnie Florian, lecz nowy wybuch śmiechu dziewczyny przerwał mu wątek myśli.

Porucznik zagryzł wargi, śmiech ten go drażnił.

– Przepraszam – rzekł chmurnie – iż stałem się mimowolnym dystrakcji¹⁸... powodem!... Odchodzę tymczasem, nie chcąc przeszkadzać jej wesołości... Powrócę później, aby czołobitność moją pani Dziewanowskiej złożyć za gościnę.

To mówiąc, chwycił za kaszkiet i szedł ku wyjściu. Dziewczyna nagle skoczyła i zastąpiła mu drogę, mierzając go ostrym, przenikliwym spojrzeniem.

– Hola! Waszmość! – rzuciła gwałtownie. – Nie mam honoru znać waćpana, ale skoro przez matkę moją w dom przyjęty zostałeś, suponuję śmieje, że mam zacnego przed sobą kawalera, co niewinnego śmiechu za obrazę mi nie poczyta.

Na te słowa Florian stanął jak wryty. Nie wiedział, czy zgrabność wystąpienia bardziej podziwiać, czy urodę dziewczyny.

Próżno szukał słów na odpowiedź, dawna pewność siebie go odbiegła, stał jak żak, mnąc machinalnie kaszkiet w rękę.

Dziewczynie na widok bezradnej miny Floriana znowu na śmiech się zbierało. W tejże chwili weszła pani Dziewanowska, spojrzała po twarzach młodych ludzi i zagaiła wesoło:

– A cóż to na siebie tak spojieracie?... Zośka, toć przecież krewniak nasz, Florek Gotartowski! Dalej, przywitajże się po bożemu, boście nie obcy. Siadaj że za stół, a ty, Zośka, bierz się do zastawy. Widzisz, że zmęczony. Siła drogi przebiegł... a blade to, znużone, ledwo pewno się trzyma.

Zośka w milczeniu jęła stół okrywać serwetą a naczynia z jadłem znosić. Pani Dziewanowska, pomagając córce, zarzucała Floriana pytaniami o rodzinie, wojnach, a w końcu o przyczynie tak gwałtownej podróży.

Porucznik dawał krótkie odpowiedzi, tając jeno właściwy powód swego przyjazdu.

– Powiadasz wiele – ozwała się nagle pani Dziewanowska – lecz ani rusz nie mogę zmiarkować, po coś ty do Warszawy zjechał. Może urzędu szukasz, stopnia – wybij sobie to z głowy. Mało to mój bratanek nadreptał, a nakłaniał się Prusakom? Nie wezmą dziś, choćbyś im

¹⁸ D y s t r a k c j a – roztargnienie; tu: rozrywka.

duszę zaprzedał, oni samych Niemców tysiącami ściągaają i starostwa, a po ichniemu „amty”¹⁹ rozdają... Ehe! Przyznaj no się, może ty o hipotece przemyślasz? Świeży grosz ci pachnie?

– Gdzie tam! – potrząsnął przecząco głową porucznik. – Do księcia Józefa chciałem, pokłonić się wypada... służyłem pod nim.

– Toć wiem! Ale co wy tam w nim widzicie takiego, dalipan, nie rozumiem.

– Matuchno! Wszak rycerz to a wódz, krew królewska – wtrąciła Zośka.

– Et! Bajesz! Twoja taka sama królewska. Szlachcic, i dość.

– Wielkiego serca, żołnierz całą duszą! – ozwał się Florian.

– Na dwoje babka wróżyła. Czy to ja nie wiem? Nie Mokronowskam z domu? Nie był to świętej pamięci Michał pułkownikiem?... Wszystko mu daruję, jeno nie onej dworszczyzny a rzucania się. Żołnierka to zawód honorowy, jednej zawdy pani swojej służyć należy. A tenci pułkownikował najpierw Austriakom i aż krew w wojnie z Turkiem przelewał za nich, później ucierał się pod Dubienką, to znów wyleciał w obce kraje i lichy wie komu przewodził, a potem krewniakowi memu, Mokronowskiemu, był przydany. No i teraz lata, jak opętany, z Jabłonnej Pod Blachę i z powrotem, a z Prusakami się zadaje. Pewnie i im jaki regiment wymusztruje. Może nieprawda? Florian pokiwał niedowierzająco głową i rzekł:

– Pani dobrodziejko! Ciężkim zarzutem obrzucacie księcia. Ma on niechętnych sobie wielu, i któż ich nie ma? Lecz jam patrzył na niego, jam go widział, gdy na czele oddziału kawalerii szarżował na góry szwedzkie, obsadzone pod Marymontem przez Prusaków...

– Za co go potem zdrajcą ogłoszono... – przerwała z impetem pani Dziewanowska. – I gdyby nie dzielność Dąbrowskiego, Warszawa już wtedy byłaby zdobyta.

– Być może! Niemniej klęska nie księcia była winą – upierał się porucznik.

– Ot, ludzkie języki i nic więcej! – zauważyła rezolutnie Zośka.

– A ty znów swoje! Powiadam waćpanu, czasem wytrzymać ciężko z tą dziewczyną. Nie mówię waćpan, małej jesteś jeszcze rangi oficerem, ale co o wojskowych rzeczach pojęcie mieć musisz... lecz ona!... Ubrdało się jej widzieć w księciu bohatera i ani wybić tego z głowy!...

Florian zaczął się zbierać do wyjścia, tłumacząc chęcią udania się na pokoje do księcia. Pani Dziewanowska wstrzymywała go:

– Jakże to waćpan myślisz? Tak, w tej odzieży?... Boż cię przyjmie?... A wieszże, gdzie go znaleźć?

– Droga na końcu języka u żołnierza, a strój, bacząc na podróż, jaką odbyłem, książę daruje.

– Ja bym mogła wskazać drogę panu porucznikowi – odezwała się niespodzianie Zośka.

– Ty! – podchwyciła pani Dziewanowska. – Co wygadujesz! A znaszże waćpan miasto?

– Ot... ledwie sobie przypominam cokolwiek – odrzekł Florian spoglądając na zarumienioną twarzyczkę pułkownikówny.

– Hm! To niedobrze. Widzisz waćpan, u nas niebezpiecznie wygadać się, że z legionów wracasz... Łatwo by cię mogła spotkać jaka przygoda. Z Prusakami żartów nie ma. Już będę pewniejsza, jak cię ona przeprowadzi...

Zośka wdziała spieszenie kontusik granatowy i kołpaczek i wyszli. Porucznik podał z galanterią ramię pułkownikównie i zawrócił rażno w stronę Zamku.

Gdy doszli do pałacyku pod Zamkiem, Zośka chciała wracać do domu, porucznik ją zatrzymał, wnioskując z zapuszczonych firanek a zasłoniętych okiennic, że księcia w domu nie ma. Jakoż przypuszczenia go nie zawiodły. Pałacyk Pod Blachą był zamknięty. Krążąc dookoła zabudowań, po długich rozpytywaniach dowiedział się od książęcego pacholika, że przed trzema dniami dwór wyjechał do Jabłonnej na wielkie polowanie i że przed świętami pewno nie powróci.

¹⁹ „A m t y” (niem. *Amt*) – urząd (starostwo – *Kreisamt*).

Wiadomość ta wielce zaniepokoiła Floriana. Rozkaz był wyraźny. Jechać co koń wyskoczy, byle jak najprędzej księcia dopaść. Tymczasem porucznik, ufając, że u celu podróży stanął, i tak już sporo czasu był zbałamucił. Jasne czoło Floriana zaszło chmurą.

Zośka jęła wnet nalegać o powód nagłego zaszepienia. Porucznik wymawiał się, jak mógł, a wykręcał. Dziewczyna atoli tak zręcznie na niego napadła, że Florian ani się obejrzał, jak wygadał się z całą prawdą. Dopiero gdy pod wpływem jego słów twarzyczka pułkownikówny spoważniała – opamiętał się i chwycił ją gorączkowo za rękę.

– Waćpanno – rzekł z mocą. – Posiadłaś mimo mej woli tajemnicę! Zachowajże ją, przez miły Bóg, bo nie o mnie tu chodzi, lecz o sprawę całego narodu.

– Mości poruczniku – odparła Zośka, a głos jej lekko drżał. – Choćby mnie krajano, słowa nie pisnę! Ale – dodała po cichu z uśmiechem – waść do trzymania tajemnic niespory – do brze, żeś na Prusaczkę jaką nie trafił.

– Słuszną waćpanna czynisz mi uwagę. Nie żołnierska to rzecz wygadać się tak, jako smyk pierwszy lepszy. Bogiem się świadczę, że nigdy mi się to nie zdarzyło, choć przez... rozmaite osoby nieraz o to i owo byłem nagabywany!... Niech się dzieje co chce! Zdało mi się, że przed tobą zełgać nie godzi mi się... Wracajmy – rzekł porucznik. – Mnie czas w drogę. Dziś na noc do Jabłonnej muszę. Trzeba.

– Trzeba – szepnęła pułkownikówka i zamyśliła się smutnie.

Nagle twarz jej zadrgała życiem.

– Nie! Waćpan zostanie.

– Jak to? – zapytał Florian z żartobliwym zdziwieniem.

– Posłuchaj waćpan! Drogi nie znasz... szczęśliwieś się prześliznął przez strażę pruskie... teraz znowu chcesz ryzykować? Gdy ryzyko jest tu niepotrzebne zgoła a niebezpiecznie...

– Lecz, mościa panno... toć są słowa próżne. Każdej chwili, minuty straconej beczynninie w Warszawie, może skądinąd drogiej, żałować, jako służbista, muszę! Mam czekać dni kilka na księcia, gdy jest tuż, o parę mil zaledwie? Papiery doręczone muszą być dzisiaj...

– Waćpan jechać nie możesz! – upierała się Zośka. – Nocą strażę na rogatce zdwojone. Waćpanu sprawy publicznej lekceważyć nie wolno. I co z tego, że życie swoje narazisz?

– Ot! Nie bój się waćpanna. Wyjadę zdrów i zdrów wrócę. Nie taki czart straszny. Zresztą – dorzucił – dwoje nas tylko posiada tajemnicę... więc albo ja, albo waćpanna! Ha! Ha!

Pułkownikówna potrząsnęła energicznie główką.

– Jakbyś wiedział waćpan, że pojedę!... W Jabłonnej mieszka moja chrestna, pani Grodzicka, mąż jej był dawniej murgrabią u księcia, dziś, chorobą powalony, jest na łaskawym chlebie.

– Oj, oj! Pali się w główce waćpanny!...

– Mówię, że pojedę, to pojedę! – powtarzała z uporem Zośka. – I bądź waszmość pewien, że żaden Prusak nawet palca na mnie nie zakrzywi...

– Ba! Ba! Pewnie. Gdzieżby śmiał! – potakiwał porucznik w żart rozmowę obracając.

Pułkownikówna nie dała się zbić z tropu i napierała na Floriana coraz gwałtowniej.

Po długich ceregielach sprawa stanęła na tym, że porucznik dotąd nie ruszy z Warszawy, dopóki nie zasięgnie wiadomości od Jana Dziewanowskiego, stryjecznego Zośki, znającego Warszawę na wylot, oraz że przed nocą nie wyjedzie, bo choć strażę bywają zdwojone, lecz zawsze łącniej się przemknąć a bodaj przemocą wyrwać.

Pani Dziewanowska przyjęła młodą parę potokiem wymówek, które na wieść o niefortunnym zakończeniu wyprawy spotęgowały się jeszcze.

– No, no! Tożecie się zasiedzieli! Ja myślałam, żeście chyba już ze dwa podwieczorki u waszego księcia zjedli.

Florian ucałował rękę Dziewanowskiej i poszedł opatrywać ostrożnie węzełek, a potem zbiegł na dół do chłopca stajennego, nakazując mu, aby konie miał opatrzone i gotowe do drogi. Ruchy te nie uszły baczного oka Zośki. Lecz słowa nie rzekła. Jęła się tylko naprzy-

krzając matce, aby po Janka Dziewanowskiego ślać i na wieczór go poprosić. Pani Dziewanowska wzruszyła ramionami na to natarczywe a niespodziewane napieranie się córki, lecz, przypisując to jej kapryśnemu charakterowi, uległa prośbie. Nim atoli zdążyła wyprawić dziewczkę służebną – najniespodziewaniej wszedł Jan Dziewanowski.

– O wilku mowa, a wilk tu! – zakrzyknęła pułkownikowa.

– Miałam po ciebie ślać. Zośka mi się napierała ciebie zobaczyć. Bacz, że gościa mamy! Florek Gotartowski... spadł dziś niespodziewanie! Wraca z legionów! – dodała ciszej.

– Z legionów! Gdzież on? – przerwał porywczo Jan. – Niech go zobaczę!... Toż gość dopiero!

Wszedł Florian. Młodzi ludzie podali sobie ręce. Spojrzeli sobie wzajem w oczy i ponowili uścisk dłoni. Za Florianem wsunęła się po cichu Zośka. Dostrzegł ją wnet Jan.

– Tuś mi, siostrzyczko! Jakiejż to łaskawości szczególnej mam przypisać, że o mnie pamiętałaś?

– Nic ważnego! – rzekła rezolutnie pułkownikówna. – Gościa mamy – ze stron dalekich. Sądziłam, że rad będziesz niejednego się dowiedzieć, a i on ciekaw, co u nas słychać – myśmy go pouczyć nie mogły dokładnie.

– Co u nas słychać? – powtórzył marszcząc brwi Jan i dźwignął desperacko swe olbrzymie ramiona. – I źle, i dobrze. Według „Gazetki” naszej ponoć Prusacy klęskę pod Auerstadt ponieśli nie lada.

– Pod Jeną także! – zauważył porucznik.

– Możeż to być?... Nie błędneż to wieści?...

– Jadę stamtąd. Dwie bitwy stoczono równocześnie, ledwie o cztery godziny drogi od siebie... Siedemdziesiąt chorągwi i trzysta armat zdobyli Francuzi, ścieląc trupem pola... Cesarz w Berlinie.

Dziewanowski aż porwał się z miejsca.

– Pewneż to? W Berlinie jest! Anim śmiał suponować. Dziś właśnie gruchnęła w mieście wiadomość, że wskutek zbliżania się wojny do brzegów Wisły, kasa wymiany biletów skarbowych przeniesioną zostaje do Królewca!

– W imię Ojca i Syna! Wojna tu, do nas, znów! – zawołała pani Dziewanowska.

– Pani stryjenko – upominał Jan – mogłoz się stać inaczej?

– Waćpanowi bitewki w głowie, a tu kraj cały znów na nowe zniszczenie skazany.

– Mogłoz się stać inaczej?... Ho! Ho! Prusacy czuj duch! Od dziś wojsko skonsygnowane²⁰ stoi pod bronią gotowe do wymarszu. Nowe prawo wydane dla tych, którzy by do nieposłuszeństwa pobudzali... sąd wojenny i kula w łeb w dwadzieścia cztery godzin.

– Wojsko skonsygnowane, powiadasz?! – wmieszała się pułkownikówna spoglądając znacząco na Floriana.

– Tak, tak. Pono spodziewają się, może nie bez kozery, dezercji ochotników... Miasto mieli dziś naokół wojskiem obstawić, a waszmość jakżeś zdołał się przedostać do nas?

– Prosto na rogatki, pod Wolą. Ani mnie nikt nie zagadnął.

– Dziw-dziw! Szczęśliwie bardzo! Niedalej jak wczoraj dwóch pod Mokotowem schwytali i rozstrzelali na miejscu. Dowiedzieć się nawet nie można, kto byli zacz.

Florian się zamyślił. Wypieki czerwone wystąpiły na twarz pułkownikówny. Jan Dziewanowski ciągnął dalej:

– W Jabłonnej polowanie miało być wielkie. Köhler się na nie z całym sztabem wybierał – dziś powiadali, że zaniechano wyjazdu. Może im dalej jechać przyjdzie. Ale co tam Köhler i nasza bieda – waść wracasz z szerokiego świata – mówcie nam, bośmy tu jak deskami zabici. Co nasi? Co legiony? Co cesarz?...

²⁰ S k o n s y g n o w a n e – konsygnacja – rozkaz nieopuszczania koszar przez żołnierzy, ostre pogotowie.

Florian jął opowiadać, z początku siląc się na zebranie myśli, lecz powoli zapalił się własnymi słowami i nie pytany snuł obraz napoleońskiej epopei. W czasie opowiadania, którego w skupieniu słuchała pani Dziewanowska, a z czią Jan – Zośka podniosła się niepostrzeżenie zza stołu, wyszła na chwilę do swej izdebki, przywdziała kontusik i kołpaczek i zniknęła za drzwiami.

Zmierzchać się dobrze zaczynało. Dziewka służebna wniosła zapalone świece, Florian urwał nagle opowiadanie.

– Ot! Mówiłoby się tak i dzień, i noc!... A komu w drogę, temu czas!...

– Co też ty mówisz? Gdzie tobie?

– Służba, pani dobrodziejko!

– Nielepiej po dniu? – zauważył Jan, który rad by rok cały słuchać tych krwawych relacji.

– Jak wypadnie. Sądziłem był z łaskawej gościny skorzystać... ale nie mogę.

– Ot czasy! – westchnęła pani Dziewanowska. – Zdrożony, wymizerowany, ledwie się na nogach trzyma! Gdzie tu myśleć o podróży, chyba do Morfeuszowa²¹!... Skoro jednak tak się upierasz... Zatrzymywać nie śmiem. Córkam żołnierza i żona... Lecz głodnego cię nie puszcze! Zośka! A gdzież ona?...

Pani Dziewanowska obejrzała się – córki nie było. Młodzi ludzie teraz dopiero wspomnieli, że od dłuższego czasu znikła im z oczu. Pułkownikowa skoczyła do dziewczki służebnej i wróciła uspokojona.

– Wyszła niedawno. Pewnie nadejdzie. Już tam coś wymyśliła i trojniaku nam może z gospody przyniesie.

Floriana coś tknęło. Podniósł się i wyszedł do sąsiedniej izdebki, gdzie był zostawił tłumoczek. Po chwili wrócił blady i poprosił panią Dziewanowską o światło. Sprawdził po kilkakroć zawartość tłumoczka, oglądał się po izdebce... Szkatułka z papierami zniknęła.

Myśl straszna powstała mu w głowie. Schwycił za kaszkiet i, nic nie mówiąc do poruszonej jego dziwnym zachowaniem się pani Dziewanowskiej, pobiegł co tchu do zajazdu, kędy chłopca z końmi ulokował, lecz ani koni, ani pacholika nie było.

²¹ D o M o r f e u s z o w a – żartobliwie: do krainy snu (Morfeusz – wg mitologii greckiej bożek snu).

IV

Florian był w rozpacz. Wyrzucał sobie lekkomyślność, z jaką zwierzył dziewczynie tajemnicę swego posłannictwa. Cóż powie teraz generałowi? Czym usprawiedliwi tę nierozważę? Miał dotąd opinię nieposzlakowaną, ufano mu bezgranicznie... Tymczasem tu, wobec tak ważnej ekspedycji, dał się podejść dzierlatce... I co jej w głowie? Zgubić może i siebie, i księcia, i jego razem!

Gdy porucznik powrócił do mieszkania pani Dziewanowskiej z wyrazem bezsilnego rozdrażnienia na twarzy – pani Dziewanowska, a za nią Jan, jęli pytać o przyczynę alteracji²². Florian, nie widząc powodu ukrywania przed nimi całej sprawy, którą uważał za straconą, opowiedział urywanym głosem wszystko, jak było.

Pani Dziewanowska łzami się zalała.

– Co jej w głowie! O ja nieszczęśliwa! Jedną na świecie miałam! Prawda, zawsze to było zawadiackie, dufające sobie! Czym się jednak mogła spodziewać? W nocy, z pacholikiem... i dokąd jeszcze? Skąd jej przyszło? Skąd jej się to wzięło?!

Dziewanowski chciał pocieszać strapioną matkę, lecz ta smutnie potrząsnęła głową i rzekła:

– Daj spokój, stało się nieszczęście!... Może Matka Przenajświętsza mnie poratuje, sierotę taką opuszczoną! Kto wie? Zośka przytomna dziewczka. Zjeść się w kaszy nie da. A co na koniu, to sprawna niby stary dragon.

Porucznik podczas tego ręce łamał a pięści zaciskał, czując się bezwładnym.

– Panie Florianie – ozwał się poważnie Dziewanowski. – Sam żołnierzem jestem i rozumiem dobrze waścina desperację... chociaż nie wiem, czyja troska większa: czy matki, która życie swej córki widzi na szwank narażonym, czy oficera, co tak niesforemego znalazł ordynansa! Tym się, mości poruczniku, pocieszaj, żeś trafił na lepszego zastępcę, niż ci się здаwać może – bo jeżeli ona nie trafi do księcia – to byś tam także nie dotarł! Dzielna to dziewczyna i rezolut nie lada!

Pani Dziewanowska jęknęła całą piersią i wyszła do drugiej komnatki w łzach a modlitwie szukać pociechy. Mężczyźni zostali sami. Jan Dziewanowski, po długiej pauzie, pierwszy przerwał milczenie:

– Panie Florianie! Otrząśnij się waść. Stało się.

– Jadę do Jabłonnej! – wyrzekł z mocą porucznik, wstając z miejsca.

Dziewanowski pokręcił głową z nieukontentowaniem.

– Co z tego? Jej nie pomożesz. Sam wpadniesz w ręce Prusaków, a jeżeli i dostaniesz się szczęśliwie, co mu powiesz? Panie Florianie! Rozkazów tajnych jam nieciekaw, lecz mnie w ciemność nie bito. Cesarz z armią się zbliża... Nie wiem ja, co tam książę myśli, lecz to, co waść wiesz, winieneś natychmiast generałowi Wojczyńskiemu przedstawić... U niego zbiera się co dzień wszystko, co w naszej Warszawie godności narodowej nie utraciło. Nie nalegam, lecz

²² A l t e r a c j a – irytacja, wzruszenie.

pomnij waść, że pewno wiesz o tym; nie o co innego tu idzie, jak o przysposobienie narodu do wielkich wydarzeń... Idziesz waćpan ze mną?! Porucznik się zawahał.

– Żołnierzem jestem. Mam obowiązek wypełniać rozkazy naczelników, a nie działać na własną rękę.

– Zgoda. Niemniej powinienes ratować zagrożoną sprawę. Pora właśnie! Otrząśnij się, mości poruczniku. Mężczyzną jesteś. Ot – dziewczki szkoda – zginąć marnie może. Hm! Zadałeś jej czegoś chyba, że na krok taki się ważyła!... Rusz się, wasze. Ja tu nakażę służebnej, niech stryjenkę na oku ma. Powrócim niebawem. Zresztą, trzeba zawczasu pomyśleć o innym dla waści i stryjenki schronieniu... bo niechby ona wpadła im w ręce, trafiliby po nitce do kłębka!... Czasu nie trzeba marnować i co żywo łatać, jak można.

Opierającego się jeszcze Floriana ujął Dziewanowski pod ramię i wyprowadził na ulicę, w drodze mu zalecając, aby o całej owej niefortunnej ekspedycji nie wspominał przed zgromadzeniem.

U generała Wojczyńskiego zastano izby dworku na Lesznie, w głębi ogrodu położonego, natłoczone. Dziewanowski z Florianem podszedł wprost do staruszka, gospodarza domu, i przedstawił mu porucznika. Wojczyński uradował się wielce, ramiona mu otworzył i uściśkał serdecznie.

– Niebo cię nam zsyła, poruczniku! – zawołał z ukontentowaniem. – Toć my tu siedzimy jak tabaka w rogu, nie wiedząc, w którą stronę pójść. Mości panowie! Porucznik legii włoskiej przybył do nas z Berlina! Imć pan Florian Gotartowski!...

Ruch powstał w izbach. Kto żyw śpieszył do Floriana rękę mu ścisnąć lub przyjrzeć mu się przynajmniej. Starszyzna atoli wzięła go między siebie i do zacisznego wprowadziła alkierzyka. Tu posypały się pytania bez końca. Panowie: Michał Kochanowski, Sobolewski, Gutakowski, książę Jabłonowski, pułkownik Siemianowski, Aleksander Potocki – rej tu wodzili, nad relacjami Floriana czyniąc uwagi.

Porucznik był oszołomiony. Całą siłę woli skupiał, byle wyjść cało z krzyżowego ognia zapytań. Wojczyński dopiero ulitował się nad nim.

– Dosyć, panowie – rzekł. – Wiadomości posiedliśmy, a teraz nie pora szczegółowymi opowieściami się bawić, tym bardziej że imć panu Gotartowskiemu należy się wypoczynek!... Jutro zapowiadam walne zebranie komisji i do rady imć porucznika zapraszam.

Florian odetchnął swobodniej i podążył wnet z Dziewanowskim na Podwale. Był zbity, wyczerpany drogą, zgnębiony wypadkami ostatniego dnia. Pani Dziewanowska nie spała, czekając powrotu niefortunnego gościa. Nie czyniąc wyrzutów, wskazała mu posłanie w komorze, a sama pogrążyła się w swojej trosce.

Porucznik jak stał, tak legł na posłaniu. Ciężkie myśli trawiły go długo i sen z ociężałych powiek spędzały. Młodość atoli zwyciężyła w końcu i porucznik zapadł w sen głęboki, niespokojny.

Słońce było wysoko, gdy Florian otworzył powieki. Oczy przetarł, myśli zebrał, mary okropne wspominając. Niestety, rzeczywistość przedstawiała mu się niemniej ponuro i smutnie. Podniósł się zwolna z posłania, spojrział w małe okienko, na jasnym tle którego rysowała się w oddali wysmukła wieżyca kościoła farnego, i zadumał się.

Nagle, spoza nie dość szczelnych drzwi sąsiedniej izby doszedł go gwar przytłumionych głosów, wśród których najwyraźniej rozlegał się srebrny śmiech pułkownikówny. Porucznik drgnął i zaczął nadsłuchiwać. Najwyraźniej ona. Czyżby to snem było! Nie zwlekając, rzucił się do porządkowania odzieży. Jeden i drugi dzbanek wody chlusnął na głowę i nadsłuchiwał, azali ten głos nie był złudzeniem. W końcu poprawił wąsa, pogładził czuprynę i otworzył drzwi.

Cichy śmiech pułkownikówny powitał go w progu. Spojrział przed się Florian i oniemiał. Przy stole stał smukły mężczyzna w obcisłym, półwojskowym stroju, bawiąc się niedbale srebrną szpicrutą. Rzucił okiem porucznik na twarz nieznajomego, twarz jasną, okoloną czar-